

PIONOWO – POZIOMO

Kiedy wychodził ostatni numer naszego pisma, dni były krótkie i raczej szare. Za to noce były długie. Świat przyrody wokół nas zasypiał i z przyciemnianiem światła wokół nas, powodował łatwość obniżania nastroju, przytłumienia różnorodnych nadziei i wiary we własne możliwości. Od blisko dwu tysiącleci, a w naszym kraju od tysiąca lat, podtrzymywana przez kolejne pokolenia tradycja chrześcijańska właśnie w takim ponurym czasie przypominała Narodziny Nadziei, światło w tunelu. Święta Bożego Narodzenia. Były one i są światłem życia w mroku, ciepłem pośród otaczającego chłodu, znakiem wybaczącej miłości w świecie agresji.

Lubię i łatwo akceptuję to święto, budzące we mnie dobre uczucia i nadzieję.

Ważną radzę sobie ze Świętem Wielkiej Nocy, które się właśnie zbiega z wydaniem tego numeru. Radzę sobie dużo gorzej, bo wszystko w tym święcie i poprzedzającym je okresie wielkiego postu, jest na poważnie. Odpłynął gdzieś pogodny i radosny uśmiech Dziecka i uroczy, dostojny spokój Rodziny. Nie ma już też okazji do okazania własnej dobroci poprzez śpiewanie czułych, melodyjnych kołysanek. Ufność, ciepło i nadzieję zastąpiły zdrada, cierpienie i śmierć nadziei na krzyżu. Krzyż był znakiem hańby człowieka, który za dokonane zbrodnie karany był publicznie ukrzyżowaniem, które powodowało śmierć przez wydłużone w czasie duszenie się.

Budzą mój niepokój droga krzyżowa, gorzkie żale i krzyk zwątpienia na krzyżu mojej nadziei – „Panie! Panie! – czemuś mnie opuścił?!

Ale dlaczego mam sobie tradycjami i odsuwaną na bok, zagłuszaną donośnym jazgotem wiarą, zaprzętać swoje myśli. Wokół mnie tyle spraw, które muszę pozalać, tyle pięknych miejsc, do których warto pojechać. Życie nie jest złe, jest przecież tylu ciekawych ludzi, tyle ważnych spraw się dzieje wokół, takie bogactwo kolorowych informacji dopływa z głośników i ekranów w każdej minucie. Jest świetnie!

Ale czasami zakłuje serce, gdy mignie w pamięci niewygodny obraz kogoś, kto czekał na moją pomoc i nie doczekał się, gasnący uśmiech na twarzy po wypowiedzeniu słów, które miały skaleczyć i skaleczyły. Odsuwam takie myśli, ale wracają one jak szum wiatru i budzą dziwny niepokój. Jak błyskawica, na moment, pojawia się myśl – może to życie, które obok płynie, nie jest do końca fikcją, zabawą, dramatem, wielkim udawaniem, ale wielką budową. Czy jest to budowa mojego i Twojego lepszego JA, czy budowa wielkiego MY, czy jeszcze czegoś innego, do czego mój intelekt i wyobraźnia nie mają dostępu?

Kiedy widzę oczy i twarze chorych, dniami i tygodniami walczących w oddziale intensywnej terapii o życie, o jeszcze trochę czasu, przed przejściem w nieznanne, kiedy widzę przestraszone, bezradne, w swojej bezsilności czasami agresywne rodziny, znoszące pogardę, obojętność, krzywdy, wpływające na nich ze strony racjonalnego, pragmatycznego świata,

odnoszę wrażenie, że Droga Krzyżowa, jako symbol niesprawiedliwości i Golgota, jak symbol wścieklej eliminacji każdego, kto nie jest politycznie poprawny, każdego, kto nie chce podporządkować się interesom silniejszej grupy, nie skończyła się całkowicie i powtarza się ciągle, angażując wszystkie kolejne pokolenia. To mnie właśnie przeraża, że nie mogę skupić się na przysłowiowym rozważaniu wyższości „Gwiazdki nad Wielkanocą”, ale muszę sam sobie powiedzieć po której jestem stronie w tym wielkim orszaku drogi krzyżowej.

Krzyż przeraża, budzi lęk, protesty, próbuje się go wyprzeć z własnej świadomości, poprzez znoszenie symboli. A przecież symbol krzyża jest taki prosty – linia pionowa i linia pozioma,

Stykające się w jednym punkcie pod kątem 90 stopni kątowych.

Linie poziomą poznajemy najwcześniej, leżąc w beciku, raczkując, poznając podłoże i nasze otoczenie, w którym przypadło nam żyć, Linie poziomą wyznacza długa oś naszego ciała, kiedy odpoczywamy zmęczeni lub zmagamy się z chorobą. Linie poziomą tworzą nasze wyciągnięte w geście serdecznego powitania ręce. Na poziomie naszych oczu napotykałyśmy inne oczy ludzkie, na poziomie rąk inne ręce. Wystarczy tylko tym oczom i rękom nie przeszkadzać, by być „człowiekiem na poziomie”. Poziom - niewidoczną, niby abstrakcyjną linię prostą wyznacza murarz poziomą, nanosząc kolejne warstwy cegieł w trakcie wznoszenia ku górze budowli, opartej solidnymi fundamentami



na ziemi a wierzchołkiem wysoko ponad nią. Linia pionowa, prostopadła do poziomej, stycznie poprowadzonej do fragmentu powierzchni ziemi, zdaje się łączyć środek ziemi z bezmiarem rozpędzającego się w swojej ekspansji wszechświata. Ku górze wznosząc oczy widzimy błękit nieba, niosące deszcz chmury a nocą gwiazdy. Linia pionowa stała się naszą instynktowną skalą oceny postępu, rozwoju, osobistego sukcesu czy niepowodzenia. Mówimy z podziwem lub zazdrością „pnie się ku górze” o kimś, kto zdobywa kolejne szczeble kariery zawodowej lub pełni coraz bardziej wymagające funkcje administracyjne (nie tylko zaszczytne). „Nisko upadł”, mówimy o kimś, kto w naszej ocenie marnuje swoje życie, popadł w kłopoty życiowe, uległ nałogom lub prowadzi życie, uznane powszechnie za niegodne. Per aspera ad astra - mawiali Rzymianie, czyli przez cierpienie do gwiazd, czyli pionowy rozwój intelektualny i duchowy człowieka wymaga wyrzeczeń, wymaga cierpienia. Krzyż jest znanym od blisko dwu tysięcy lat symbolem cierpienia. Swoisty krzyż tworzy leżący chory i stojąca nad nim pielęgniarka lub lekarz; dwoje ludzi, jeden człowiek w pozycji poziomej, drugi w pozycji pionowej. W tym przypadku linia pozioma jest linią cierpiącego człowieka, linia pionowa zaś jest linią miłości.

Krzyż był symbolem odrzucenia, wykluczenia uznanego za zbrodniarza człowieka ze społeczności. W swoistej konstelacji poziomo-pionowej medycyny, bohaterowie linii poziomej czują się często odrzuceni już przed chorobą a w jej trakcie mają okazję przeżywać to szczególnie dotkliwie. W chorobie, stanowiącej swoiste wołanie o pomoc z zewnątrz, o pomoc ludzi, o pomoc Boga, stopień poddania się dobrej woli innego człowieka zdaje się być większy, niż w pionowej postawie dnia codziennego. Odsłonięty emocjonalnie chory jest bardziej uwrażliwiony na wszelkie doznania, niż podczas rutynowej koncentracji na wykonywaniu powtarzających się zadań. Odrzucamy chorego i nasilamy jego poczucie odizolowania, kiedy tworzymy terapeutyczne kółko mędrców, deliberujące naukowo-medycznym żargonem niedaleko wysuniętych spod krótkiej kołdry stóp chorego. Trzymamy się naszego pionu i wznosimy się na wyżyny naszego intelektu. Znajdujący się w pozycji horyzontalnej chory jest przecież na innym poziomie. Chory wie za mało, by być naszym partnerem w dyskusji. To nic, że dyskusja dotyczy właśnie spraw najistotniejszych dla niego, a nie dla nas. To nic, że najważniejszą pracę i jej koszty w walce z chorobą ponosi ciało i duch chorego człowieka. Jakżeż łatwo o tym zapominamy. Mówimy do siebie, zebrani w kółeczko – nad chorym i poza chorym. Powinien być zadowolony, bo o nim rozmawiają eksperci – nie z nim, nie do niego. Przestraszone oczy chorego, próbującego coś zrozumieć z naszej mowy, kiedy zapatrzeni w siebie, we własnym przekonaniu wznosimy się na intelektualne wyżyny przy okazji jego cierpienia, są na niższym poziomie i bardziej od nas oddalone. Nie patrzymy w oczy chorego omawiając jego chorobę. Chory jest wykluczony z naszego kółka, odtrącony – bo za mało wie, bo zawsze decydowano o nim poza nim. Zawsze tak było, więc dlaczego mielibyśmy to zmieniać? Taki krzyż cierpienia chorego, to krzyż cierpienia bez miłości. Jest to krzyż, który się przewrócił. Cierpienie pozostało w horyzontalnej pozycji, ale prostopadła pionowa upadła i stała się prostopadłą poziomą. Ciężar i objętość pychy wypiera miłość. Jest to poziomy krzyż odrzucenia.

Jaki jest więc krzyż cierpienia i miłości? Chory zwraca się w swoim cierpieniu do wszystkich, od których oczekuje pomocy: do Boga i ludzi. Nie umiem ocenić tej linii pionowej, która duchowość i cierpienie człowieka łączy z Bogiem, wierzę, że wbrew moim rozchwanym myślom i odczuciom, jest idealna, ale nie stanowi ona przedmiotu rozważań i oceny tak długo, dopóki sam nie znajdę się w pozycji poziomej, w pozycji słabości i oczekiwania na pomoc, na skrócenie moich cierpień. W zasięgu mego horyzontu myślenia i działania pozostają moje spotkania z ludźmi; i tymi zdrowymi, i tymi chorymi. Jak wyobrażam sobie pionową linię, utrzymującą płaszczyznę wieńcową i pozwalającą na wzniesienie wzroku ku gwiazdom?

Pozioma linia przyziemności, z jej cierpieniem, szarością, ciężarami wad i niespełnionych marzeń, nabiera lekkości, kiedy skrzyżowana jest z linią pewnie, prosto i zdecydowanie wznoszącą ku górze nasze nadzieje, ufność, poczucie piękna, szacunku dla godności człowieka i innych form życia, linią rozwijającej się duchowości. Wiem, że może to brzmieć śmiesznie i pretensjonalnie. Nie jest jednak śmiesznym dla chorego uśmiech i wyczuwana życzliwość ze strony osób, wspierających go w powrocie do zdrowia. Nie jest śmiesznym okazywanie mu lekceważenia lub wręcz pogardy. Okazywanie choremu szczególnej sympatii wtedy, kiedy za to płaci, nie jest wyrazem naszej miłości, bo miłość jest zawsze bezinteresowna. Tam gdzie zaczyna się wymiana towaru na towar, usługi na usługę, czy płacenia za jedno i drugie, jest więź handlowa, która w odniesieniu do relacji międzyludzkich ma czasami nieprzyjemną nazwę. Nie jest śmiesznym dla chorych i potencjalnie chorych ich uświadamianie, że są dla przychodni, oddziału, szpitala zbyt kosztowni. Odrzucani i tak już chory, dociążany jest poczuciem winy za kryzys

państwowy. W takiej sytuacji zagubiony, bezsilny człowiek nie reaguje już, kiedy ci, którzy mieli i mają go bronić, mówią w sposób naturalny i spokojny, że bywało gorzej, że ze względu na koszty leczyć go będą młodzi lekarze, którzy nie zakończyli w pełni szkolenia, że może przeszkoleni po maturze przez rok lub dwa, młodzi ludzie, będą decydowali o jego życiu i śmierci tak samo, jak kształcący się przez dwanaście lat lekarze. To nic, że ryzyko jest bardzo duże. Przecież ryzykuje się tylko życiem słabego, który i tak już jest w pozycji poziomej, już i tak leży. Dobre wyniki finansowe przełożą się na dobre wyniki kolejnych wyborów, kolejne nagrody, zaszczyty i urzędy zdobędą kolejni zaradni i pragmatyczni ludzie, ludzie nowocześni, wolni od staroświeckich przesądów i mdłego paplania o wartości człowieka i wartości w ogóle. Linia ludzkiego cierpienia krzyżuje się poziomo z linią skuteczności żmii jedwabistej, dla oka pięknej, w kontakcie zabójczej.

Gdzie więc spotyka się pozioma linia ludzkiego cierpienia z pionową linią ludzkiej miłości?

Wbrew obawom spotykają się obie linie często i w wielu miejscach. Pochylający się nad małym dzieckiem rodzice, dzieci, troszczące się w miarę swoich możliwości, powracającymi do bezradności dzieciństwa bez jego wiosennej radości rodzicami, człowiek podający rękę, poświęcający swój czas komuś, kto leży złożony niemocą ducha lub ciała, to ludzie, którzy osłaniają innego, słabszego od siebie człowieka przed krzywdzącym działaniem świata zewnętrznego.

Z poziomą linią cierpienia krzyżuje się prostopadła, wznosząca linia miłości, wszędzie tam, gdzie przy chorym zatrzymuje się jego brat lub siostra, wyposażony w wiedzę, którą ciągle doskonalą, ludzką wrażliwość, pozbawiony pychy, lenistwa i chciwości – lekarz, pielęgniarka i każdy, kto wspiera proces zdrowienia a pozostaje bardziej człowiekiem niż mechanicznie reagującym ludzkim robotem. Ma w sobie taki krzyż, obok cierpienia chorego, także ciężar odpowiedzialności i poświęcenia ze strony osoby ratującej lub wspierającej.

Pięknie o lęku przed wspólnotą krzyżujących się kierunków, pionowego i poziomego, pisał Cyprian Kamil Norwid w swoim wierszu „Dziecko i krzyż”.

Od: *patrz jaki tam krzyż,
 Krzyż niebezpieczny,
 Maszt się niesie wzwyż
 Most mu poprzeczny.*
Aż do: *gdzie się podział krzyż,
 Stał się nam bramą.*

Krzyż choroby, cierpienia, leczenia, krzyż przebywania w szpitalu jest bramą do życia lepszego, do życia w lepszym zdrowiu, do życia w lepszym zrozumieniu siebie i otaczającego świata. Intensywna terapia i znieczulenia są bramą do dalszych kręgów wznoszenia się ludzkiego ducha dla naszych chorych i dla nas. Krzyż przygasił nadzieję, by ją w fajerwerku Wielkanocy przywrócić i zwielokrotnić. Tajemnice splecionych dróg cierpienia, wyzwolenia i nieustającej pieśni życia, dzieją się nadal, wystarczy tylko otworzyć oczy i w milczeniu rozejrzeć się wokół.

Kochani, wszystkim życzę niegasnących nadziei i radości z życia własnego i przywracanego przy Waszej pomocy słabym i bezsilnym, rozciągniętym na przyziemnej płaszczyźnie cierpienia.

Wesołych Świąt!

Leon Drobnik